

PROLOG

Nikt tak naprawdę nie wiedział, kto pierwszy wystrzelił pociski. Absolutnej pewności nie mieli ani prezydenci, ani technicy odpowiedzialni za śledzenie ruchów przeciwnika, ani tym bardziej zwykli ludzie. Wszyscy zarzekali się jednak, że to *musieli być ci drudzy*. Faktem niepodważalnym natomiast jest, że gdy główne mocarstwa ostatecznie złamały pieczęć nuklearnej klątwy, ich mniejsi sojusznicy postanowili rozwiązać swoje zadawnione spory. Bliski Wschód, Półwysep Koreański, Europa czy Półwysep Indyjski stanęły w ogniu atomowego grzyba. Oberwało się również Australii, Ameryce Południowej i Afryce, których tereny w większym lub mniejszym stopniu należały do dwóch spierających się ze sobą hegemonów. Oceany wykrwawiały się ku ciemnym niebiosom, drzewa usychały, życie na pełnej śmiercionośnego promieniowania Ziemi zamierało...

Ale wbrew pozorom zagłada nie przyszła nieoczekiwanie, a jej główni sprawcy przygotowywali się na nią od lat. Rządy w tajemnicy budowały schrony, w których *Wydarzenie* miała przeczekać skrupulatnie wyselekcjonowana elita społeczeństwa, wyznaczona, by w przyszłości odbudować ich cywilizację i zapewnić im ostateczne zwycięstwo. A przynajmniej taki był plan. W praktyce bowiem sam atak nastąpił niespodziewanie, a kwadrans, jaki wybrańcy mieli na ewakuację do bunkrów, nie zawsze okazywał się wystarczający. W ten sposób w schronach znaleźli się kładący akurat wtedy przewody i rury elektrycy oraz hydraulicy, prowadzący prace wykończeniowe glazurnicy czy w ostatniej chwili ściągnięci z ulic zupełnie przypadkowi przechodnie — aby zwiększyć szanse na przetrwanie narodu, schrony trzeba było przecież odpowiednio zapęłnić.

Bunkry zamierzano otworzyć, kiedy zmniejszyłby się poziom radiacji, a klimat ustabilizował. Ten czas właśnie nadszedł...

Ozzie wszedł do niewielkiej sali. Jej pomalowane zieloną olejną farbą ściany odbijały jasne światło zasilanych energią atomową LED-ów. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Pięć krzeseł z rozkładanymi blatami było już zajęte. Szóste czekało na niego. Przy zawieszanej na stojaku, zwiniętej w rulon mapie, stał Gregory, naczelnik bunkra.

— O, pojawiła się w końcu nasza gwiazda — kąśliwie zauważył rozmawiający do tej pory z Amy Red. — Kiedy chodziliśmy do szkoły, spóźnienia nigdy mu się nie zdarzały. Widać przyszły z wiekiem.

— Raczej z nadmiarem obowiązków — odgryzł się Ozzie.

— A jakie to masz obowiązki? My z ojcem pilnujemy, żeby ten schron jakoś jeszcze funkcjonował, a mimo to się nie spóźniłem.

— Prowadzę ważne badania, ale nie będę ci tłumaczył, bo i tak byś nie zrozumiał.

Twarz Reda wykrzywił grymas irytacji. Jego ojciec nie należał do wybrańców. Znalazł się w bunkrze, bo w dzień ataku regulował tu system klimatyzacji. Rodzice Ozziego byli za to poważanymi profesorami na uniwersytecie. Na tle ich pochodzenia i przydatności dla schronu zawsze dochodziło między nimi do spieć.

— Oczywiście, Oswaldzie. I jestem pewny, że tym razem będziemy mieli z tego jakieś korzyści, nie jak za poprzednimi czterdziestoma ośmioma razami.

Ozzie uśmiechnął się w niemej odpowiedzi. Ojciec zawsze powtarzał mu, że ignorując *tych prostaków*, sprawiamy im największy ból. W głębi ducha cały się jednak gotował. Po pierwsze, nienawidził, gdy Red nazywał go *Oswaldem* — była to forma, której używali tylko jego rodzice, a ten burak nie posiadał nawet jednej setnej ich intelektu czy osiągnięć. Po drugie... jego przeciwnik niestety miał rację. Do tej pory jego badania nie przyniosły schronowi żadnych korzyści. Może gdyby miał dostęp do materiałów i surowców, których skompletowanie przed Wydarzeniem nie stanowiłoby żadnego problemu... Ale nie zamierzał się tym tłumaczyć. Wiedział, jakie czekają na niego ograniczenia i pomimo ich obecności powinien być już coś osiągnąć. Jego ojciec w jego wieku napisał już pracę doktorską i miał własne laboratorium.

— Później wymienicie uprzejmości — rzekł opanowanym jak zawsze, choć nieco już zmęczonym głosem (wszak miał ponad siedemdziesiąt lat) Gregory. — Na razie zamknij drzwi.

Ozzie chwycił za pokrętło ciężkich metalowych drzwi, używanych kiedyś chociażby w łodziach podwodnych, i wykonał polecenie.

— Przekręć zawór bezpieczeństwa.

Zaskoczony chłopak spełnił żądanie. Wiedział, po co się tu spotkali, ale nie spodziewał się aż takiego poziomu dyskrecji. Przecież wszyscy w bunkrze zdawali sobie sprawę, co wkrótce nastąpi.

Zajął wolne miejsce. Na szczęście nie musiał siedzieć obok Reda, za to blisko Amy — ich rodzice znali się bardzo dobrze i nie raz wspominali, że ich latorośle stworzyłyby idealną (i zbawienną dla ludzkości) parę. AJ, bo tak nazywali ją najbliżsi przyjaciele, na razie nie przejawiała szczególnej chęci do realizacji tych życzeń, ale może już wkrótce zmieni zdanie. Nadchodzące wydarzenia były jego szansą.

Gregory rozwinął wiszącą na stojaku mapę. Ich oczom ukazała się znana ze szkoły rzeźba terenu ojczyzny. Po raz pierwszy zobaczyli jednak naniesione na nią czerwone punkty.

— Nadszedł wreszcie ten czas — powiedział podniosłym tonem. — Czas odbudowy naszej wspaniałej cywilizacji. Od Wydarzenia minęło równo trzydzieści lat. Pora otworzyć bunkier i spełnić zadanie wyznaczone nam dekady temu przez naszych światłych przywódców.

Siedzący po lewej stronie Ozziego siwy mężczyzna uśmiechnął się pod nosem. Chłopak nie znał go za dobrze. Nie obracali się w tych samych kręgach, mimo iż Barry — bo tak miał na imię — oraz rodzice Ozziego należeli do najbliższych znajomych Gregory'ego. Zrozumiał jednak od razu jego wesołość. Ojciec nie raz powtarzał mu, że podniosłe hasła, jakie wygłaszał teraz naczelnik, miały

nakłonić łatwowiernych do poświęcenia wszystkiego, co mieli, za nic — za garść frazesów i nieistniejących powiązań między tymi, którzy naprawdę mieli osiągnąć korzyści a frajerami kładącymi na szali swoje życie. Tylko po co Gregory miałyby używać na nich podobnych sztuczek? „Aha, przecież jest z nami Red. To pewnie dla niego ta szopka”.

— Ale skąd możemy wiedzieć, że promieniowanie nie będzie już nam zagrażać? — spytał głosem pełnym trwogi najmłodszy z grona wybrańców, siedzący z przodu dziewiętnastoletni Matty. — Albo czy na zewnątrz nie panuje nuklearna zima? Albo wręcz przeciwnie... Może...

— Matthew — Gregory uniosł ręce w uspokajającym geście — zebraliśmy dane z najbliższej okolicy. Warunki są odpowiednie.

— *Z najbliższej okolicy* — powtórzył chłopak, nerwowo poprawiając okulary. — Ale co nas czeka dalej, nie wiemy. Nie mamy przecież danych z orbity.

Wróg zniszczył ich satelity w dzień Wydarzenia. Zresztą oni prawdopodobnie uczynili to samo.

— Nie, nie mamy. Ale czy naprawdę uważasz, że znajdujemy się akurat w jakiejś bańce spokoju? Że tutaj warunki są inne niż kilkadziesiąt mil dalej?

— Nie chodzi o to, co ja uważam, ale o pewność, że tam — wskazał ręką w nieokreślonym kierunku — nie czeka na nas śmierć.

— Co do śmierci — włączył się do dyskusji Barry — to możesz ją spotkać wszędzie. Zobacz, ile mamy różnych wypadków w schronie, mimo że staramy się zachowywać wszelkie środki ostrożności. Gwarancji oczywiście ci nie dam, ale podobno specjalizujesz się w komputerach — Matty skinął głową — więc podejdź do tego logicznie. Nie działa nam radio i część czujników, które podczas Wydarzenia były dobrze ukryte. To oznacza prawdopodobnie, że wróg dowiedział się o istnieniu naszego bunkra i celował w nas lub gdzieś nieopodal. — Chłopak znów skinął głową. — Więc jeśli warunki w pobliżu wybuchu pocisku są odpowiednie, dalej również powinny takie być, prawda?

— Niby tak, ale jeśli te działające czujniki są uszkodzone i podają nieprawdziwe dane?

Barry niecierpliwie westchnął. Widać nie był przyzwyczajony do zbyt długich i w sumie bezowocnych rozmów — bo przecież wyprawa i tak wyruszy, czy się to Matty'emu podoba, czy nie.

— Będziemy mieli liczniki Geigera — przyszedł mu w sukurs Ray, szósty członek wyprawy, czterdziestolatek pracujący w służbach porządkowych bunkra.

— A jeśli promieniowanie uszkodzi baterie i przestaną działać?

Sześć poirytowanych spojrzeń wbiło chłopaka w krzesło. Skulił się w sobie.

— Dobra, głupie pytanie. Ale co z innymi niebezpieczeństwami? Kto wie, w co zmutowały się żyjące na powierzchni gatunki?

— I właśnie dlatego w wyprawie uczestniczą Barry i Ray — podjął zadowolony postępek w dyskusji Gregory. — Obaj regularnie ćwiczą strzelanie z pistoletów i karabinów. Obaj wiedzą, co to niebezpieczeństwo.

„Wiedzą? — powątpiewał Ozzie. — Barry był po trzydziestce, gdy uderzyły pociski. Może zetknął się wcześniej z niebezpieczeństwem, ale Ray miał dziesięć lat, gdy tu trafił. Jakie miał doświadczenie? Bójki z rówieśnikami w szkole podstawowej? Bo w bunkrze co najwyżej rozsądza drobne przepychanki. Z drugiej jednak strony... chyba i tak nie mamy nikogo lepszego”.

— A jaki jest stan terenu i dróg? — nie ustawał w w pytaniach Matty. — Będziemy dysponowali samochodem?

— Nie. Mamy co prawda kilka pojazdów, ale żaden nie jest na chodzie.

— A nie da się ich naprawić? — Chłopak spojrział na Reda.

— Nawet gdybyśmy posiadali jakieś rezerwy ropy naftowej i potrafili ją zrefinować w paliwo oraz oleje smarne, czego nie potrafimy — wyjaśnił mechanik — to i tak nie mamy pasków napędowych. Wszystkie przez lata sparciały. Zapomnij o samochodzie.

— Zresztą nie będzie konieczny. W schronie trzydziestym pierwszym — Gregory pokazał palcem czerwony punkt na mapie, oddalony od ich bunkra o jakieś sto czterdzieści mil — gdzie na razie się udacie, może będą mieli dostęp do nowszych informacji. Być może Centrum Odbudowy Cywilizacji już działa i nasz udział w projekcie nie będzie konieczny.

Naczelnik zaczął czekać chwilę, aż Matty się uspokoił, po czym kontynuował:

— Nie oznacza to jednak, że macie stąd wyjść z myślą o wycieczce do trzydziestego pierwszego i spokojnym powrocie. Być może połączycie siły z ich ludźmi. Być może uda się wam tam uzyskać jakiś

środek transportu, ale może być też tak, że ich schron uległ zniszczeniu, awarii lub czemuś innemu i resztę drogi będziecie musieli pokonać sami, na pieszo.

— Resztę drogi? — jęknął Matty. — A inne schrony? I gdzie właściwie jest to Centrum Odbudowy Cywilizacji?

— Po drodze jest kilka bunkrów. — Gregory wskazywał kolejne czerwone kropki. — Centrum znajduje się zaś tu. — Popukał palcem w punkt oddalony o ponad tysiąc mil na północny-zachód.

— Daleko — zauważył Red.

— Daleko — przyznał Gregory — ale większość z was nigdy nie widziała świata poza tymi murami. Jestem pewny, że ciekawość będzie was gnała do przodu szybciej, niż ci się wydaje.

— A co, gdybyśmy po drodze natknęli się na nieoczekiwane problemy i musieli wybierać między czymś życiem a misją? Jakie mamy zastosować procedury?

— Tymi sprawami zajmie się Barry, przywódca wyprawy i wasz przewodnik.

— A jeśli Barry'emu się coś stanie? — spytał Red. Wywołany mężczyzna posłał mu spojrzenie pełne niedowierzania. — Nie chcę nikogo obrazić, ale nasz przywódca nie jest już pierwszej młodości.

Barry już miał coś odpowiedzieć, ale ubiegł go Ray:

— Wtedy ja przejmuję dowodzenie. Jestem wystarczająco młody?

Red podrapał się po czole i zamilkł. Z kolei odezwała się milcząca do tej pory Amy, blondynka o ciemnych oczach, medyk wyprawy:

— Czyli może dojść do sytuacji, że komuś coś się stanie, ale misja będzie wymagała, byśmy mimo to parli naprzód, zostawiając go na pastwę losu?

— Mówimy o ekstremalnych przypadkach — starał się ją uspokoić Barry. — Skoro cywilizacja czekała trzydzieści lat, by powrócić w glorii i chwale — Ozziem wydawało się, że ostatnie słowa wypowiedział z nutką drwiny w głosie — może zaczekać kilka dodatkowych dni na wykurowanie się któregoś członka wyprawy. Nikogo nie zamierzam zostawiać na pastwę losu. Wszyscy są tak samo ważni.

„Chyba jednak nie, skoro istnieją od tego jakieś procedury” — zauważył Ozzie, lecz wołał nie dzielić się tą myślą z pozostałymi.

— Ale do tych ekstremalnych sytuacji może dojść — znów zaczął panikować Matty. — Więc co to za sytuację?

— Po co martwić się na zapas? — uspokajał Gregory. — Przecież może do nich nigdy nie dojść.

— Ale o jakich sytuacjach mówimy? — nie ustępował najmłodszy z grona wybrańców.

— Jak banda zmutowanych neandertali kogoś porwie i ryzyko utraty innych członków ekspedycji będzie za duże, to nikt nie przyjdzie cię ratować — rzucił Red.

— Naprawdę? Panie Barry, naprawdę?

— Jeśli są tam jakieś *neandertale* czy inne formy życia, to szczerze wątpię, że mają dostęp do broni palnej. Bez obaw, poradzimy sobie.

Matty pokiwał głową, choć nie wydawał się przekonany.

— A propos form życia — spytała Amy — czy wiemy o jakichś gatunkach, które przetrwały? Czy coś kręci się w pobliżu naszego bunkra?

— Jaszczurki, dzikie psy, niewielkie ptaki — odparł Gregory. — Nie zauważyliśmy u nich śladów mutacji popromiennej, więc może na zewnątrz nie było tak źle, jak zakładano.

— Jest jeszcze robactwo w otworach wentylacyjnych — dodał Red. — Ono też pewnie przychodzi z powierzchni. Kilka z nich przekazaliśmy panu biologowi do jego arcyważnych badań. — Spojrzał na Ozziego.

— Karaluchy, mimo że poddane zwiększonej dawce promieniowania, również nie zmutowały — wyjaśnił wywołany. — Ale w ich wypadku to nic dziwnego. Są w stanie przyjąć ponad dziesięć razy więcej promieniowania jonizującego niż ludzie.

— Jak mówiłem, otrzymacie liczniki Geigera — podjął naczelnik. — A ponadto solidny zapas tabletek z jodkiem potasu oraz broń. Promieniowanie ani inne formy życia nie powinny wam zagrażać. Największą niewiadomą będzie teren. Nie wiemy, czy i jak zmieniło się jego ukształtowanie przez te trzydzieści lat, ale Barry jest zaprawionym podróżnikiem i myśliwym, przeprowadzi was przez wszelkie nieoczekiwane przeszkody.

Matty z nadzieją spojrział na nestora wyprawy. Red uśmiechnął się z lekką drwiną.

— Wyruszać jutro z samego rana. Stołówka otrzymała instrukcje, by na kolację wydać wam co tylko będziecie chcieli i ile będziecie chcieli, bez patrzenia na przysługujące limity, ale sugeruję nie objadać się za bardzo. Być może czeka was ponad tysiąc mil marszu, od jutra powinniście narzucić wysokie tempo. — Gregory rozejrzał się po sali. — Jakies pytania?

— Co nas czeka w tym Centrum? — spytała Amy. — Jak dokładnie ma przebiegać ta odbudowa cywilizacji?

Naczelnik westchnął.

— Nie mam dostępu do zbyt tajnych informacji, więc o wszystkim na pewno nie wiem. Mogę tylko przekazać wam pogłoski, które krążyły na spotkaniu szkoleniowym dla pracowników schronów. Po pierwsze, w Centrum, tudzież bunkrze numer jeden, podobno przechowywane są plemniki i jaja, z których mamy zaludnić kraj. Biorąc pod uwagę obecność w waszym gronie Ozziego, wydaje mi się to bardzo prawdopodobne. Krążyły również słuchy, że wróg pracował nad specjalną generacją bomb kobaltowych, które miałyby uczynić naszą ziemię jałową na wieki. W Centrum trwały jakoby prace nad przeciwdziałaniem takiej technologii, ale patrząc na promieniowanie dookoła naszego bunkra, nie sądzę, by wróg użył tej broni. Może w ogóle nigdy jej nie wyprodukował.

— Ojciec opowiadał mi, że tak samo jak bomby kobaltowej, prawdopodobne było zrzucenie atomówek, które w ogóle nie wydzielały promieniowania — odpowiedział Red.

— Zgadza się — przytaknął Gregory. — Uważano również, że wróg może zechcieć zniszczyć tylko nas, a naszą ziemię przejąć. Wtedy użycie bomby kobaltowej byłoby głupotą. — Zamilkł.

— To tyle? — zdziwił się Ray. — Nie słyszałeś już innych plotek?

Naczelnik pokręcił przecząco głową.

— A lista członków wyprawy? — spytała Amy. — Skoro od nas chcieli biologa, nie można się domyślić reszty na podstawie innych wymaganych specjalistów.

— Ta lista przewidywała tylko osoby lub ich potomków, które były wybrane do danego schronu. Jeśli na przykład nie mieliśmy żadnych fizyków jądrowych, to na naszej liście pożądanym członkiem wyprawy kogoś takiego nie będzie. Był biolog, bo rodzice Ozziego są biologami.

— Czyli klasyczna ochrona własnej klasy społecznej — prychnął Red. — Bo oczywiście syn mechanika nie może zostać naukowcem, co? Te stanowiska są zarezerwowane dla ich rodzin i znajomych.

— Inteligencja i pewne zdolności często są przekazywane w genach — zauważył z zadowoleniem Ozzie.

— Może gdyby twoi rodzice tak samo przykładali się do przekazania swojej wiedzy każdemu, a nie tylko tobie, mielibyśmy więcej biologów. Byłby jakiś wybór, a tak jesteśmy skazani tylko na ciebie.

— Może od razu zauważyli, że mój umysł jest bardziej chłonny niż czyjś inny.

— Co to miało znaczyć?! — oburzył się mechanik.

Barry pokręcił głową z dezaprobatą i pomasażował czoło. Ray bacznie przyglądał się sprzeczącym, zastanawiając się, czy za chwilę nie przyjdzie mu ich rozdzielać. Na szczęście napięcie rozładował Gregory:

— Wszelkie decyzje personalne o wyborze do bunkrów zostały podjęte w oparciu o realia ograniczonych zasobów, jakie miały nas czekać. Zdecydował rachunek prawdopodobieństwa. Biorąc pod uwagę twoje zdolności do mechaniki, Red, gdybyśmy posiadali tu jakichś inżynierów lub wynalazców, pewnie stałbyś się jednym z nich. Ale wtedy być może nie dołączyłbyś do wyprawy i całe życie spędził w tych murach, więc nie wiem co lepsze. Szczerze mówiąc, zazdroszczę wam. Ja może już nigdy ich nie opuszczę.

Matty otworzył usta, by coś powiedzieć, ale natychmiast je zamknął. Być może chciał zaproponować Gregory'emu swoje miejsce w ekspedycji. Doskonale zdawał sobie jednak sprawę, że zamiana nie była możliwa. Każde z nich dysponowało innymi umiejętnościami, każde było specjalistą w swojej dziedzinie. Wyprawa wymagała ich udziału i była zaszczytem, o którym inni mogli tylko marzyć.

— Jeśli chwilowo nie ma innych pytań — rzekł Barry — to zapraszam wszystkich na strzelnicę. Celnie strzelać się nie nauczycie, nie mamy tyle czasu ani przede wszystkim amunicji, ale przynajmniej dowiecie się, jak obchodzić się z bronią i poznać jej odrzut.

Wstał. W jego ślady poszedł Ray, a potem reszta członków wyprawy. Wszyscy oprócz Ozziego skierowali się do drzwi.

— A dla ciebie potrzeba specjalne zaproszenie? — spytał z pogardą Red.

— Zaraz do was dołączę — rzucił Ozzie i odwrócił się plecami do drzwi. Gdy usłyszał, że cała piątka podążyła w głąb korytarza, zwrócił się do zwijającego mapę naczelnika: — Gregory, czy lista członków wyprawy jest już ostateczna?

Siwy mężczyzna zmarszczył brwi. Postawił zrolowaną mapę pionowo i trzymał ją jak starożytny wojownik włócznię.

— Dziwnie sformułowane pytanie. Zapewne chodzi ci o udział w wyprawie Reda, prawda?

Ozzie niechętnie pokiwał głową.

— Nie mogę kogoś odsunąć od ekspedycji, bo go nie lubisz. Red jest najlepszym specjalistą od działania schronów, jakiego mamy.

„Chyba od przepychania kibli” — pomyślał chłopak.

— Ale on będzie zaniżał morale grupy i celowo doprowadzał do konfliktów — oponował. — Naprawdę nie ma nikogo innego?

— Nie. — Naczelnik, stukając plastikowym końcem mapy o betonową podłogę, ruszył ku otwartym drzwiom. W jego języku oznaczało to koniec dyskusji.

— A inni konserwatorzy? A jego ojciec? — Ozzie powoli wyszedł na korytarz.

— Nikt nie posiada jego wiedzy i umiejętności. A jego ojciec ma już swoje lata.

— Ale jest młodszy niż nasz przewodnik, Barry.

— Ojciec Reda nie weźmie udziału w wyprawie. — Gregory zgasił światło w sali i zamknął drzwi.

— Dołącz do reszty kolegów, zanim wystrzelają wszystkie przeznaczone do ćwiczeń pociski. Nie mamy ich zbyt wiele. — To powiedziawszy, oddalił się korytarzem.

Ozzie, ociągając się, ruszył na strzelnicę.

Ozzie ociężałym krokiem wszedł do swojej malutkiej kwatery i z wysiłkiem klapnął na zapadniętym fotelu. Znużonym spojrzeniem obrzucił monotonne zielone ściany, wysłużone meble i wciąż psujący się sprzęt codziennego użytku. Ktoś zapukał do drzwi — dzwonki nie działały od lat. Człowiek Gregory'ego miał mu przynieść zapakowany plecak na wyprawę, by umieścić w nim kilka ubrań, bieliznę czy jakieś drobiazgi. Podpierając się na oparciach fotela, wstał i otworzył drzwi.

— Witaj, Oswaldzie — rzekła matka, bez pardonowo wpraszając się do pokoju.

— Cześć, synu. — Jej śladem podążył ojciec.

— Dlaczego nie odwiedziłeś nas po odprawie?

— Dopiero wróciłem — wyjaśnił chłopak, zamykając drzwi. — Po odprawie od razu poszliśmy na strzelnicę, a potem na kolację. Teraz czekam na kogoś, kto ma mi przynieść plecak, żebym się spakował na jutro.

Rodzice usiedli na łóżku.

— Nie wiedziałem, że mamy strzelnicę w schronie — zauważył ojciec.

— Ja też nie. Ochrona nie używa przecież broni palnej, ale okazuje się, że jakieś jej rezerwy...

— Dosyć o broni. Opowiedz lepiej o wyprawie — ucięła wyjaśnienia matka.

Ozzie ponownie zajął miejsce w fotelu i dokładnie streścił przebieg zebrania.

— To twoja wielka szansa, by zdobyć Amy — stwierdziła po wysłuchaniu „raportu” matka.

— I zapisać się w historii — dodał ojciec.

— Yhm.

— Tylko po co wam ten woźny?

— Podobno zna się na schronach.

— Jak wielu innych — prychnęła rodzicielka. — Musimy porozmawiać z Gregorym.

— Już próbowałem. Nic to nie dało.

— Nas wysłucha.

— Wysłuchać wysłucha, ale zdania nie zmieni — powątpiewał chłopak.

— A coś ty taki jakiś... oklapły? — rzucił ojciec.

— Dostałem nielimitowaną kolację. Chyba przegiąłem z ciastem czekoladowym. — Ozzie położył ręce na wyraźnie powiększonym brzuchu.

Ktoś zapukał do drzwi. Gospodarz zwlekł się z fotela. Przyniesiono plecak. Postawił go przy ścianie pod drzwiami. „I ja jeszcze mam coś do tego dodać? Przecież ledwo jestem w stanie go unieść. A jutro jeszcze mamy dostać broń i zapasowe buty”.

— Spakuj się, Oswaldzie — nakazała matka, wstając z łóżka — my pójdziemy porozmawiać z Gregorym. Wrócimy później.

Chłopak pokiwał głową i zamknąwszy za rodzicami drzwi, skupił się na wybraniu jak najlepszych ubrań z wciąż zacinających się szuflad szafki.

Red spakował plecak i próbnie zarzucił go na plecy. Przeszedł kilka kroków po niewielkiej kwaterze, jaką zajmowali wspólnie z ojcem.

— I jak? — spytał siedzący na swoim łóżku stary mechanik.

— Nawet dość wygodnie, a nie zapiąłem przecież jeszcze klamer na brzuchu.

— Dodaj do tego broń. To kilka następnych funtów.

— My mamy dostać tylko pistolety z kaburami zawieszanymi u pasa. Żaden ciężar. — Chłopak odstawił plecak pod ścianę.

— Myślałem, że dostaniecie jakieś strzelby czy karabiny.

— Te są tylko dla Barry'ego i Raya. My podobno zrobilibyśmy nimi więcej szkody niż pożytku.

— Ci jajogłowi pewnie tak, ale ty?

— I tak nie spodziewamy się ich używać, więc nie robi mi to różnicy. — Red usiadł na swoim łóżku.

— I co z tego? Tu nie chodzi o to, czy będziesz używał broni, czy nie, ale o twój status w grupie. Pokaż wykształciuchom, że jesteś w czymś od nich lepszy.

— Dobrze, spytam jutro naczelnika, czy nie da mi strzelby.

— Nie spytasz, ale zażadasz — poprawił ojciec.

— Yhm — pokiwał głową Red.

— Jakie *yhm*? — zirytował się ojciec. — Pójdiesz, zażadasz strzelby i ją dostaniesz. Nie możesz dawać sobą pomiatać.

— Nie daję. — Red podniósł się z łóżka, podszedł do plecaka i udawał, że sprawdza sprzączki.

— Mam nadzieję. Nie po to cię z Macy chowaliśmy, żebyś skończył jak ja.

— Bez ciebie ten bunkier dawno przestałby działać. Jesteś tu niezastąpiony — odrzekł stanowczym tonem syn.

— Cieszę się, że tak uważasz. Ale dla tych... wybrańców... zawsze będziemy tylko niewidoczną pomocą, woźnymi, kimś, kim można pomiatać i nie liczyć się z nimi w ustalaniu naprawdę ważnych planów. — Stary mechanik zaczął kaszleć.

Red doskoczył do niego natychmiast.

— Wziąłeś leki?

— Oczywiście, że wziąłem, ehe, ehe... tylko gównu już pomagają, ehe.

— Kiedy dotrzemy do tego Centrum Odbudowy i zaczniemy działać, na nowo uruchomimy fabryki leków — Red starał się podnieść ojca na duchu.

— To co tu wytwarzamy jest wystarczająco dobre. To mnie się kończy data przydatności, ehe.

— Nie mów tak.

— Przecież obaj wiemy, że to prawda. Skończę tak samo jak Macy. Konserwacja tego schronu ma swoją cenę, nawet gdy wykonuje się ją w ochronnych kombinezonach.

Red opuścił wzrok. Wiedział, że ojciec ma rację.

— Nie jest jednak tak źle. Mogłem umrzeć trzydzieści lat temu. A tak przynajmniej miałem szansę poznać Macy i spłodzić ciebie.

Chłopak uśmiechnął się smutno.

— Posłuchaj mnie — ojciec chwycił go za ramię silną dłonią — chcę, żebyś mi coś obiecał. I nie jakimś tak *yhm*, tylko tak naprawdę, po męsku.

— Co? — Niebieskie oczy chłopaka błysnęły zainteresowaniem.

— Nigdy tu nie wracaj.

— Jak to? Ale...

— Jeśli tu wrócisz, wrzucą cię do tej gównianej roboty co mnie i nigdy nie osiągniesz swojego potencjału. Zmarnujesz się i to cię w końcu zabije.

— Poziom promieniowania...

— Nie mówię o promieniowaniu, ale o ciągłym uczuciu żalu, że stać cię było na coś znacznie większego, a skończyłeś... ehe, ehe... a skończyłeś... ehe...

— W porządku, rozumiem.

— Naprawdę?

— Tak — odparł zdecydowanie Red.

Ojciec z dumą pokiwał głową.

— Czyli...?

— Obiecuję, że nigdy tu nie wrócę.

— Świetnie. Choćby nie wiem, jak wyglądało życie na zewnątrz, pamiętaj o tej obietnicy.

— Ale ty też mi coś obiecaj.

— Co?

— Że kiedy uruchomimy Centrum i naprawimy maszty radiowe, a ja dam ci znać, byś do mnie dołączył, przyjedziesz.

Stary mechanik uśmiechnął się smutno. Obaj zdawali sobie sprawę, że prawdopodobnie nie zostało mu tak wiele czasu.

— Oczywiście, synu. Obiecuję.

Amy klęczała nad okazałą apteczką, którą jutro miała zabrać na ekspedycję, i po raz trzeci sprawdzała, czy znajdują się w niej wszystkie potrzebne medykamenty.

— Naprawdę musisz to teraz robić? — spytała siedząca na jej łóżku matka. — Nie możemy normalnie porozmawiać ostatniego wieczoru przed wyprawą?

— Jestem pewny, że o niczym nie zapomniłaś — dodał z życzliwym uśmiechem ojciec.

Amy westchnęła w duchu, odłożyła wcześniej przygotowaną listę leków do apteczki i usiadła w fotelu. Domyślała się, o czym będą rozmawiać rodzice.

— Ta misja to wielka szansa — zaczęła zadowolona posłuszeństwem Amy matka.

— Wiem, dlatego sprawdzam, czy wszystko zapakowałam.

— Nie o to mi chodziło.

Amy opuściła wzrok i zagryzła wargę.

— Czy Oswald wykazuje jakieś oznaki, że jest tobą zainteresowany?

— Znowu to? — spytała podenerwowana. — Ile razy będziesz pytać o to samo?

— Dopóki nie uzyskam odpowiedzi.

— W takim razie: nie wiem i specjalnie mnie to nie interesuje.

— Jakie *nie wiem*? Jakie *nie interesuje*? — oburzyła się rodzicielka.

— Oswald to bardzo dobra partia — zauważył ojciec. — Gdyby połączyć nasze geny z Vanderbildami...

— Tato!

— Amelio, masz już dwadzieścia dwa lata — przypomniała nieznośnym sprzeciwu tonem matka — kiedy zaczniesz myśleć o przyszłości?

— Myślę o przyszłości... całej ludzkości. Dlatego staram się przygotować do wyprawy najlepiej jak potrafię.

— To bardzo szlachetne z twojej strony — rzekł ugodowym tonem ojciec — ale nam chodzi konkretnie o twoją przyszłość. Oswald może być wybawicielem ludzkości. Każda kobieta marzy o takim mężu.

— Tak? A co się stało z *powinnaś się szanować*? Gdzie się podziało *nie zgadzaj się za szybko*?

— Przecież nie mówimy, że masz się mu od razu rzucać w ramiona. Pytaliśmy tylko, czy jest tobą zainteresowany.

— A ty rzuciłaś, że cię to nie interesuje — dodała rodzicielka.

Amy głośno westchnęła. Nie chciała poruszać tego tematu w przeddzień wyprawy, ale nagabywania rodziców działały jej na nerwy.

— A pomyśleliście, że ja mogę być już zmęczona tym ciągłym swataniem mnie z Ozziem? Słyszę to, od kiedy pamiętam. Czy ja jestem na niego skazana? Czy nie mam prawa do podejmowania własnych decyzji?

— Oczywiście, że masz — odparła matka. — My tylko chcieliśmy się dowiedzieć...

— Czy wasz zamysł się realizuje? — dokończyła Amy. — Otóż odpowiem wam. Odpowiem wam tymi samymi słowami co przed chwilą: nie wiem. A wiecie dlaczego? Bo ten wyidealizowany obraz Ozziego, który nosicie w głowach, nijak się ma do rzeczywistości. To nie jest jakiś zniewalający swoim wyglądem Mister Uniwersum. Jego Einsteinowski intelekt na razie nie pozwolił mu dokonać żadnego odkrycia, a jego nienaganne maniery sprowadzają się do patrzenia z góry na tych, którzy nie mieli szczęścia urodzić się w rodzinie naukowców czy lekarzy. To jest ten wasz wymarzony kandydat na zięcia?

Twarcz matki wykrzywiła się w kwaśnym grymasie.

— Oswald do tej pory nie miał szans pokazać pełni swoich możliwości — zaczął tłumaczyć ojciec. — Jestem pewny, że zanim wyprawa się skończy, zmienisz o nim zdanie.

Amy nie chciała się kłócić. Stwierdziła więc pojednawczo:

— Może. Ale to wcale nie oznacza, że nagle zapragnę wyjść za niego za mąż.

— Nie znajdziesz lepszego kandydata — stwierdziła matka.

— Może tak, może nie. Zresztą, co to za różnica?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że może będę chciała pójść swoją drogą? Może nie potrzebuję męża, który będzie mi mówił, co mam robić ze swoim życiem?

— Twój ojciec nigdy nie mówił mi, co mam robić ze swoim życiem — oburzyła się rodzicielka.

— Ale wy mi mówicie, co mam z nim robić!

Matka zaniemówiła, Amy nigdy nie widziała jej w takim stanie. Po chwili podniosła się z łóżka i bez słowa skierowała do drzwi. Ojciec rozłożył bezradnie ręce i podążył za żoną. Podchodząc do drzwi, Amy słyszała głos rodzicielki:

— Ona zawsze taka była. Nigdy nie pozwoliła sobie nic wytłumaczyć. A przecież my chcemy tylko jej dobra.

Dziewczyna zamknęła drzwi i przekręciła zawór śluzy. Przyklękawszy przy otwartej apteczce, zaczęła od nowa sprawdzać listę leków. „Nie potrzebuję mężczyzny. Nie potrzebuję szefa. Nie potrzebuję opiekuna. Nie potrzebuję nikogo. Sama jestem panią swojego losu” — pomyślała z dumą.

Barry siedział w fotelu i obracał w dłoniach szklanicę złotej whiskey, gdy ktoś zapukał do drzwi.

— Wejdz, Greg.

W normalnych warunkach jego głos nie przedostałby się przez dźwiękoszczelną śluzę, ale ta już lata temu straciła swoje właściwości. Poza tym nigdy nie przekręcał pokrętki, by w pełni korzystać z samotności. Gość musiał go usłyszeć.

— Wiesz, że alkohol jest w schronie surowo zabroniony? — spytał lekkim tonem naczelnik, zamykając za sobą drzwi.

— Napijesz się? Zostało mi jeszcze pół butelki, a i tak jej ze sobą nie zabiorę.

Gregory spojrział na dodatkową pustą szklanę stojącą na niskim stoliku.

— Chyba domyślasz się odpowiedzi. — Zajął miejsce w fotelu naprzeciwko gospodarza.

Barry wypełnił pustą szklanę do połowy. Gość pociągnął mały łyżeczek.

— Aaa — mlasnął z zadowoleniem. — Już prawie zapomniałem, jak smakuje.

Siedzieli chwilę w milczeniu, rozkoszując się smakiem trunku. Wzrok Gregory'ego spoczął na stojącym na szafce, oprawionym w ramkę zdjęciu, na którym około trzydziestoletnia blondynka trzymała na rękach dwuletnią dziewczynkę. Dostrzegłszy to, gospodarz rzekł:

— Dziękuję.

— Od trzydziestu lat truć mi dupę, dłużej bym nie wytrzymał — uśmiechnął się Gregory. — Poza tym naprawdę jesteś najlepszą szansą, jaką te dzieciaki mają na dotarcie do celu. Bez ciebie zgubiłyby się najdalej do wieczora.

— Raczej do południa.

Roześmiali się. Napili whiskey.

— Ale pamiętaj — zastrzegł naczelnik — misja musi stać zawsze na pierwszym miejscu.

— Obiecałem. — Barry wyrzekł tylko jedno słowo, jakby to miało zamykać dyskusję o jego priorytetach.

— Udasz się do domu?

— Oczywiście. Vanessa wiedziała, co robić w nagłych wypadkach. Nawet jeśli jej tam nie ma, zostawiła mi wiadomość.

— Myślisz, że...? — zawiesił głos Gregory.

— Oczywiście, że tak. Przecież wszystkich ludzi nie da się tak łatwo wytłuc. A jeśli ktoś przeżył, to na pewno ona i Jerri.

— Z tego, co o niej opowiadałeś, to w to akurat nie wątpię. Chodziło mi o obraz jej aktualnego życia. Może ułożyła sobie wszystko na nowo?

Barry westchnął. Opróżnił szklanicę i dolał sobie whiskey.

— Może. Nie winiłbym jej za to. Chcę po prostu znów ich zobaczyć. Przekonać się, na jaką kobietę wyrosła Jerri. Kto wie, może jestem już dziadkiem?

— Czasami zrzędzisz jak dziadek — zaśmiał się Gregory.

— I kto to mówi... siwy.

— Siwy? — naczelnik udał oburzenie. — A ty to co?

— Ja mam jeszcze kilka ciemnych włosów i idę na wyprawę z bandą dzieciaków. Ty zostajesz w tym domu starości.

— Co prawda, to prawda — zaśmiał się gość i wychylił resztę zawartości szklanki. Gospodarz dolał mu kolejną porcję.

— Myślisz, że te pozostałe bunkry przetrwały? Że naprawdę uda się odbudować cywilizację? — spytał po chwili Barry.

— Tak — odparł z pełnym przekonaniem naczelnik. — Wiem, że prawdopodobnie walnęli w nas atomówką, że mieliśmy kilka prób sabotażu, ale jednak jakoś przetrwaliśmy. Nawet jeśli część schronów uległa zniszczeniu, z potencjału pozostałych odbudujemy nasz kraj.

Gospodarz w żaden sposób nie skomentował jego słów.

— A ty się ze mną nie zgadzasz? — przerwał przedłużającą się ciszę Gregory.

— Co do bunkrów możesz mieć rację. Martwią mnie raczej ludzie.

— Mówisz o członkach wyprawy?

— Dwa koguciki i dzieciak, który moczy spodnie na widok własnego cienia. Jedyne ta Amy wydaje się w miarę rzeczowa, ale przy pierwszym zagrożeniu i tak pewnie straci głowę.

— Nie doceniasz ich — naczelnik napił się whiskey. — Owszem, tobie mogą się wydawać bandą mięczaków, ale to inteligentni młodzi ludzie. Szybko się przyzwyczajają do nowych realiów. Jestem pewny, że jeszcze cię zadziwią.

— Będą musieli. Gdyby wiedzieli o wszystkich zagrożeniach, które na nas czyhają...

— Nie tak głośno — naczelnik zerwał się z fotela i podszedł do drzwi. Sprawdził korytarz. Na szczęście nikogo nie było w pobliżu.

— Bez obaw. I tak prawie nikt mnie nie odwiedza.

— *Prawie*. — Gość zasiadł w fotelu.

— A swoją drogą, to ciekawe, że ten chłopak nazwał ich *neandertalami*, nie sądzisz?

— Sugerujesz, że coś wie?

— Nie wiemy, jak daleko jego ojciec zapuszczał się tymi przewodami wentylacyjnymi.

— Tam nie ma aż tyle miejsca, by człowiek się przecisnął.

— Tam nie było tyle miejsca — sprostował Barry. — Kto wie, czy jakiś pocisk nie poszerzył tych tuneli.

— Ale to by oznaczało, że coś z zewnątrz może się dostać do środka. A wtedy Steph na pewno dałby mi znać.

Gospodarz wzruszył ramionami i napił się złocistego płynu.

— Jeśli wylot przewodu jest wystarczająco wysoko i jest dla nich niedostępny, mógł uznać, że nie warto cię informować. Przecież kazałbyś wtedy załatać dziurę, a on nie mógłby oglądać świata zewnętrznego. Mówiłeś, że jest chory. Być może to nie od pracy w tunelach, ale od wizyt na zewnątrz.

— Nie, na pewno nie. Steph nigdy by tak nie ryzykował. — Po chwili jednak dodał: — Chociaż Red przyszedł do mnie zaraz przed tym, jak do ciebie wychodziłem. Chciał, abym wydał mu jutro strzelbę zamiast pistoletu.

— I co zrobiłeś?

— Oczywiście odmówiłem.

— A on jak zareagował?

— Jakoś bardzo nie oponował. Odniosłem wrażenie, że ojciec kazał mu do mnie przyjść.

— A widzisz.

— Ale to Red wspominał o *neandertalach* — przypomniał naczelnik. — Jeśli naprawdę by o nich wiedział, chyba by bardziej nalegał, prawda?

— Może i tak. — Barry pociągnął łyk trunku ze szklanki. — Zostawmy już to. To ostatni wieczór. Powspominajmy lepiej dawne czasy, jak na dwóch dziadków przystało.

— Zgoda. Pamiętasz, jak pierwszy raz namierzyłem twój zapas whiskey...?

Ray spakował do plecaka ostatnią parę skarpet i zatrzasnął plastikową klamrę. Spojrzał na naburmuszoną twarz siedzącej na łóżku żony. Veronice nie podobało się, że miał brać udział w wyprawie. Głośno wypuścił powietrze z płuc.

— Niedługo będę musiał się kłaść spać. Naprawdę naszą ostatnią noc chcesz spędzić na dąsaniu się? Przecież nie zgłaszałem się do tego zadania.

— Wiem, ale też specjalnie nie oponowałeś. — Skrzyżowała ręce na piersi, założyła nogę na nogę i zaczęła nią energicznie machać.

— Wierz mi, próbowałem, ale Gregory'ego nie odwiedzisz od raz powziętej decyzji.

— Nie kupuję tego — pokręciła głową — łącznikiem między starym Barrym a młodymi mógłby zostać równie dobrze ktoś inny. Dlaczego akurat ty?

— Bo ja się najlepiej nadaję do tej roli, a stawką misji jest przyszłość naszej cywilizacji. Świetnie, że mnie doceniasz. — Udając oburzenie, usiadł obok żony.

— Przecież wiesz, że nie o to mi chodzi. — Przestała się dąsać i chwyciła go pod ramię. Przytulił ją. — Po prostu boję się o ciebie. Co się stanie z Russem i Judie, jeśli nie wrócisz? A Mark? Może i ma już piętnaście lat, ale nadal cię potrzebuje. Ja cię potrzebuję. Nie może iść ktoś inny?

— Niepotrzebnie się martwisz — odparł wyrozumiałym tonem. — Według ostatnich odczytów promieniowanie nie powinno być problemem. Nie spodziewamy się też spotkać niebezpiecznych form życia, ale jakby co, to nieźle się podszkoliłem w strzelaniu z karabinu. Nic mi nie będzie. Poza tym ta wyprawa może się skończyć szybciej, niż ci się wydaje. Moja rola może się ograniczyć do odeskortowania dzieciaków do najbliższego schronu.

— Daleko?

— Jakies sto czterdzieści mil.

— Na pieszo, czyli dość daleko.

— A, tam. Zobaczysz, wrócę zanim się spostrzeżesz.

— Boję się — powiedziała po chwili Veronica. — Wiem, że to irracjonalne, ale czuję się jakoś tak... czuję, że coś się ma wydarzyć.

— Trafiłaś do schronu, mając cztery lata. Nie pamiętasz, jak było na zewnątrz i stąd ten lęk. Nic się nie wydarzy.

Wtuliła się w jego pierś.

— Obiecuj.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Obiecuję. — Pocałował ją w czoło.

Siedzieli chwilę w milczeniu. Wkrótce usłyszeli otwieranie drzwi prowadzących na korytarz i tupot stóp na starej, przetartej niemal na wylot wykładzinie. Do pokoju wpadł pięcioletni Russell i jego dwa lata starsza siostra Judie. Rzucili się rodzicom na szyję.

— Jak było na zajęciach? Namalowaliście coś dla taty? — spytała Veronica. Dzieci były na zajęciach plastycznych w mieszczącej się niedaleko bibliotece.

Judie puściła rodzicielkę i pobiegła do drugiego pokoju. Zaraz wróciła z dwoma rysunkami, przedstawiającymi całą ich piątkę stojącą w bliżej nieokreślonym pomieszczeniu bunkra, trzymającą się za ręce.

— Piękne — stwierdził Ray. W głębi jego duszy odezwało się jednak niezadowolenie, że dzieci nie znają innego świata poza schronem. Zawsze te zielone ściany. „Ale już niedługo — powtarzał sobie. — Niedługo wszystkie dzieci znów zaczną rysować domki, lasy czy łodzie”.

— Zabierz je ze sobą — zaproponowała Veronica.

— Pewnie, że zabiorę — obiecał.

— Tato, a przywiesz nam coś? — spytał nieśmiało Russ.

— A skąd takie pytanie? — zdziwił się Ray.

— Mama mówiła, że kiedyś jak ktoś wyjeżdżał w podróż, to przywoził z niej jakieś pamiątki.

— Albo prezenty dla dzieci — dodała cicho Judie.

Ray spojrzał na żonę rozbawionym wzrokiem. „Akurat to zapamiętała z tamtego świata”.

— Jeśli będę miał okazję, to na pewno czegoś poszukam... Jakiejś lalki dla Russa i robota dla Judie — zażartował.

— Ale ja nie chcę lalki — skrzywił się chłopczyk.

— Cicho, głupi — strofowała go siostra. — Wolisz nic nie dostać? Zawsze możemy się przecież wymienić.

— Judie, nie przezywaj brata — upomniała córkę Veronica.

— Ale on nie rozumie podstawowych praw ekomonii.

— Czego?

— Ekomonii. No, wymiany towarów.

— A ty skąd znasz takie słowa? — spytała matka.

— Widziałam dzisiaj książkę na zajęciach z rysunku.

„No tak, zajęcia odbywają się przecież w bibliotece”.

— To się nazywa ekonomia.

— Przecież mówię.

— Ale ja nie chcę lalki — wtrącił wciąż przeżywający zawód Russell.
— Dobrze, poszukam dla ciebie robota albo samochodu.
— Ale wtedy ja zostanę z robotem — zaprotestowała Judie. — Nie chcę robota.
— Bo nie znasz postawnych praw ekomonii — odgryzł się jej brat.
— A ty za to nie potrafisz powiedzieć wierszyka o świstaku.
— Potrafię. — Russell pokazał siostrze język.
— To powiedz.
— Ile drewna... — Chwilę się zastanawiał. — Nie chce mi się teraz tego mówić.
— Bo nie potrafisz.
— Może i nie. Ale przynajmniej będę miał robota, a ty nie... To znaczy, ty też.
— Tato, ale ja nie chcę robota.
— Wiecie co? — postanowił pogodzić dzieci Ray. — Zapomnijcie o lalkach i robotach. Przywiozę wam taki prezent, o którym nigdy nie słyszeliście. Coś, co zadziwi wszystkich w bunkrze.
— Tak? A co to będzie? — spytała dziewczynka.
— Nie mogę wam powiedzieć, bo wtedy nie bylibyście zdziwieni, kiedy bym to przyniósł.
— Aha, no tak.
— Tata przywiezie ci robota — stwierdził Russ. — Wtedy na pewno będziesz zdziwiona.
— Przecież powiedział, żebyśmy zapomnieli o robotach i lalkach.
— Może żartował?
— Tato, żartowałeś? Powiedz, że nie żartowałeś.
Ray uśmiechnął się od ucha do ucha. Będzie mu brakować tych sprzeczek na szlaku.

Matty wyszedł z toalety, trzymając się za brzuch. Ciężko klapnął na fotel w pokoju gościnnym.

— Za bardzo się objadłeś kolacją — strofowała go siedząca naprzeciwko matka.

— Na kolację prawie nic nie zjadłem... z nerwów.

— W sumie to się nie dziwię. Tam czeka tyle niebezpieczeństw...

— Louise, nie strasz chłopaka — odezwał się stojący w kuchni ojciec.

— Nie straszę. Ale chyba powinien wiedzieć, jakie niebezpieczeństwa jutro będzie musiał pokonać.

— A ty wiesz jakie?

— Domyślam się.

— Czyli nie wiesz i niepotrzebnie go straszysz.

Kobieta machnęła lekceważąco ręką w stronę kuchni i ściszonego głosem zapytała:

— A jodek potasu już wzięłeś? Najlepiej zażyć go przed kontaktem z promieniowaniem.

— Wziąłem — zapewnił Matty.

— A na tej strzelnicy czegoś się nauczyłeś?

— Jak się odbezpiecza broń, jaki jest jej odrzut i jak wymienić magazynek.

— A jak celnie strzelać?

— Nie mamy w schronie aż takich zapasów amunicji. Ale Barry i Ray potrafią celnie strzelać.

Louise z dezaprobatą pokręciła głową.

— Co ten Gregory sobie myśli? Zabiera nam chłopaka, każe mu dźwigać ciężkie toboły, od których może sobie skrzywić kręgosłup, nie uczy go, jak przetrwać w tej dziczy...

— A czego się spodziewałaś? — spytał jej mąż, wchodząc do pokoju ze szklanką mleka w rękę i zajmując miejsce w fotelu. — Że zapakuje go w jakiś czołg, w którym kucharz codziennie będzie mu przyrządzał wyszukane dania, a pomoc domowa prała skarpetki? Moim zdaniem ta wyprawa bardzo dobrze ci robi, Matty. I nie słuchaj matki, w towarzystwie Barry'ego i Raya nic ci nie grozi.

— Tak, podstarzały elektryk i syn hydraulika na pewno mu pomogą — rzuciła sarkastycznie Louise.

— Daj spokój. Chcesz być taka jak Vanderbildowie z tym ich Oswaldem? Barry'emu i Rayowi należy się nasz szacunek.

Louise nie skomentowała słów męża. Przecież ona też była tylko córką sprzątaczkii, która dostała się do schronu dzięki przydatności dla kraju ojca Matty'ego. Zamiast tego podjęła wątek wyprawy:

— Wiesz, co masz robić na wypadek biegunki?

— Tak. — Matty pokiwał głową.

— A promieniowania?

— Aha.

— Wysokich temperatur?

— Yhm.

— Postrzału?

— Idzie z nami Amy.

— Córka Morganów?

— A jest jakaś inna?

— Odpowiadaj na pytania!

— Dobrze, mamó. — Chłopak zapadł się w fotelu. — Tak, córka Morganów.

— No — usatysfakcjonowana matrona wyciągnęła wysoko podbródek — i tak ma być. Morganowie to specjaliści najwyższej klasy. Jestem pewna, że ich latorośl okaże się równie utalentowana... Ale lepiej naucz się wyjmować kule i opatrywać rany, na wypadek gdybyś odłączył się od grupy.

— Daj spokój, Louise. Dlaczego miałbyś się odłączyć od reszty? — bagatelizował ojciec.

— A bo to wiadomo? Wystarczy zagapienie, jedna sekunda i nieszczęście gotowe. Tam na pewno jest teraz Dziki Zachód, albo gorzej... Meksyk.

Matty poczuł nagle parcie na brzuch. Ojciec pokręcił głową z niedowierzaniem.

— A wiesz, co robić, gdyby z krzaków nagle wyskoczyło stado nagich kobiet z ogromnymi...?

— Walterze, jesteś wulgarny!

— A ty straszysz chłopaka i podcinasz tylko jego pewność siebie. Wymyślasz jakieś niestworzone historie o zagapieniu i zgubieniu, Jessem Jamesie i El Chapo. Weź się, kobieto, zastanów trochę. Czy na miejscu Matty'ego chciałabyś wysłuchiwać podobnych bredni w przeddzień wyprawy?

— To nie są brednie, Walterze. A moje nauki przydadzą mu się w życiu bardziej niż twoje lekceważenie wszystkiego.

Zestresowany sprzeczką rodziców i nadchodzącą wyprawą chłopak ponownie poczuł ruch w jelitach.

— Chyba muszę na kibel. — Wstał i popędził do toalety.

— Jaki znowu *kibel*? Tak się nie mówi. Powinieneś powiedzieć... A swoją drogą, to mogą być pierwsze oznaki choroby popromiennej. Może ta broń leżała w jakiejś nieszczelnej części schronu i teraz jest radioaktywna. Sprawdzaliście ją dozymetrem? Weź lepiej jeszcze jodek potasu...

Reszty słów Matty nie usłyszał. Już siedział na sedesie i głośnymi pierdnięciami wydalał z żołądka resztki płynów... piąty raz po kolacji.

Pięciu ubranych w kurtki członków wyprawy, Gregory oraz technik odpowiedzialny za otwarcie prowadzącej na zewnątrz masywnej śluzy czekali przy drzwiach do komory bezpieczeństwa. Zza zakrętu korytarza wyłoniła się ruda, rozczochrana czupryna Reda. Mechanik pospiesznym krokiem dołączył do reszty wyprawy.

— O, jest nareszcie nasza gwiazda — rzucił Ozzie, nawiązując do wczorajszej uwagi chłopaka. — W szkole też się spóźniał. Widać to nie przechodzi z czasem.

— Pierdol się, Oswaldzie.

— I jak? — spytał Gregory, wręczając Redowi kaburę z Sig Sauerem P320.

— Tak jak się należało spodziewać. — Mechanik zamocował kaburę do pasa i spojrzał na drzwi komory bezpieczeństwa. Nie chciał kontynuować rozmowy. Amy wiedziała, z jakiego powodu. Gdy przyszła pożegnać się z rodzicami, dowiedziała się o nocnej zapaści ojca Reda.

Naczelnik dał technikowi znak, aby otworzył komorę. Mężczyzna włożył specjalny klucz w szczelinę przy drzwiach, podniósł odblokowaną w ten sposób gumową osłonę właściwego zamka, a następnie innym kluczem otworzył drzwi. Nieużywane od trzydziestu lat zawiasy zaskrzypiały, ale drzwi otwarły się jednym płynnym ruchem. Cała ósemka weszła do komory bezpieczeństwa. Technik zamknął za nimi drzwi. Zbliżywszy się do metalowej konsoli z dużymi, plastikowymi przyciskami, wsunął kolejny klucz w otwór mieszczący się z boku urządzenia. Podniósł wykonaną z pleksiglasu osłonę guzików i uruchomił aparaturę.

Dźwięk rozkręcających się turbin wypełnił niewielkie pomieszczenie. Przez otwory wentylacyjne przeciskało się nieswieże, zatęchłe powietrze. Ray zaciągnął się niemiłym zapachem.

— Prawie jak nowojorskie metro — stwierdził.

— Prawie jak każde metro latem, gdy wysiadła klimatyzacja — poprawił Barry.

„Szkoda, że pierwszym elementem starego świata, jaki poznajemy, jest ten smród — pomyślała Amy. — Może dalej będzie lepiej”.

Technik wcisnął kilka przycisków na konsolce. Drzwi w kształcie przerośniętego koła zębatego, które Amy wzięła za niecodzienny wzór na ścianie, cicho przesunęły się kilka stóp do tyłu, a potem „wtoczyły” w ścianę.

Gregory podchodził do każdego z osobna i klepiąc ich po plecach lub ramionach, szeptał im na ucho ostatnie słowa zachęty.

— Z tobą wyprawa jest w dobrych rękach — zwrócił się do Amy.

Dziewczyna uśmiechnęła się uprzejmie w odpowiedzi.

Gdy pożegnania dobiegły końca, szóstka wybrańców przeszła do kryjącej się w ciemnościach części komory, którą odłoniły olbrzymie drzwi. Barry wcisnął niewidoczny do tej pory przycisk na ścianie. Nad ich głowami zapaliło się przyjemne, białe, ledowe światło. Uniósłszy w górę kciuk prawej dłoni, wcisnął inny guzik. Technik odpowiedział tym samym gestem i nacisnął przycisk na konsolce. Drzwi w kształcie koła zębatego powróciły na swoje miejsce. Po chwili otwarły się za to inne, mieszczące się naprzeciwko nich. Ostre światło słoneczne, jakie większość z nich знаła jedynie z filmów, zamajaczyło na końcu długiego na osiemset stóp tunelu.